

Siostry w rzece i rzeka w domu

Siostry albertynki w Boliwii w Ivirgarsama prowadzą Ośrodek Zdrowia im. Świętego Brata Alberta i pomagają w parafii. Systematycznie docierają z pomocą potrzebującym także do wiosek, do których nie ma żadnych dróg lądowych.

22 października 2017 roku. Ten dzień pozostanie na zawsze w pamięci każdego uczestnika wyprawy. Już od rana z wielkimi emocjami zbieraliśmy nasze rzeczy pakując je na kamionetę, by zawieźć to wszystko do portu Villa Ruel oddalonego od nas o 20 minut drogi i stamtąd popłynąć rzeką do wiosek z pomocą medyczną.



Pierwsza grupa z siostrą Joanną pojechała już o godzinie 10, a ja z resztą załogi i częścią bagaży o godzinie 11. Już po drodze bagaże nam spadały z kamionety i musieliśmy wracać, by je pozbierać. W porcie czekała nas niespodzianka – obiecano nam z marynarki przybrzeżnej dwie łodzie, a okazało się, że nie mogą nam dać dwóch tylko jedną; i na dodatek

jest to mała łódź aluminiowa, która jest wywrotna i nie można na nią zmieścić dużo rzeczy. Jedyną zaletą tej łódki było to, że jest szybka, gdyż posiada motor 40 KM. Lekarz, który miał zorganizować łodzie, był trochę zakłopotany, ale w szybkim czasie postarał się o kolejną łódkę, przynależącą do wiosek, gdzie płynęliśmy. Była ona mniejsza niż ta od żołnierzy i miała motor tylko 25 KM. Cała wyprawa liczyła 10 osób: dwie siostry, dwóch lekarzy, laborantka, pielęgniarka, dentysta i trzech żołnierzy z przybrzeżnej jednostki. Całe wyposażenie i ilość bagaży, jakie mieliśmy, przerastało pojemność i ciężar, jaki mogły wytrzymać łodzie. Trudności w załadunku towaru były bardzo duże. Mieliśmy 400 litrów benzyny w dwóch beczkach, 30 litrów oleju silnikowego, 140 litrów wody pitnej i 40 litrów napoju, ogromną skrzynię z lekami, instrumenty dentystyczne i pielęgniarskie, mikroskop i sprzęt pomocniczy; do tego namioty, materace i śpiwory, żywność, naczynia kuchenne wraz z kuchnią gazową i butlą i rzeczy osobiste każdego z uczestników wyprawy. Dla wiosek w darze mieliśmy 6 worków ryżu, 6 worków makaronu, 35 litrów oliwy, zabawki dla dzieci, przybory szkolne i słodkie. Znoszenie tego wszystkiego z lądu do łódek trwało kilka godzin...

Wreszcie, gdy wszystko było gotowe, podzielono nas na dwie grupy. Jedną z nich stanowiły siostry, laborantka, pielęgniarka

i żołnierz, który miał prowadzić łódź. Na drugą łódkę wsiedli lekarze i dwóch żołnierzy. Z uśmiechem na twarzy zegnaliśmy stojących na brzegu żołnierzy i ludzi oraz pracowników z Centrum Medycznego, którzy nas przywieźli i nam towarzyszyli. Na łódce rozdaliśmy obiad przygotowany przez siostry i napoje. Płynęliśmy spokojnie rozmawiając i żartując, gdy nagle poczułam wodę w butach i mówię do siostry Joanny: – „Mamy wodę w łódce!”. Ona mi odpowiedziała: –

„Czasami trochę wchodzi...” – i to były jej ostatnie słowa. Woda sięgała mi po pas i łódź w szybkim tempie zanurzała się pod wodę. W momencie łódź przechyliła się na moją stronę i ja wypadłam do wody. Nie wiem, jak głęboko zanurzyłam się pod wodą, ale w krótkim czasie woda wyrzuciła mnie na powierzchnię dzięki kamizelce ratunkowej, którą miałam założoną. Zobaczyłam wokół siebie rzeczy pływające po powierzchni wody i siostrę Joannę obok mnie, walczącą z wodą. Złapałam ją za rękę, ale że nie umiałyśmy pływać a nasze ruchy w wodzie były nieskoordynowane, woda rozdzieliła nas i poniosła siostrę Joannę z prądem w dół rzeki, w krótkim czasie nie było jej widać. Usłyszałam głos żołnierza: – „Siostro, nie walcz z wodą!”, więc poddałam się jej i położyłam na jej powierzchni. Pozostałe dwie dziewczyny trzymały się kadłuba łodzi, razem z żołnierzem. W danym momencie nie czułam lęku, martwiłam się tylko o siostrę Joannę, której nie było widać, a która – jak się później okazało – miała źle zapiętą kamizelkę ratunkową i woda zrywała kamizelkę przez jej głowę. Siostra była w szoku, bo została oddalona od nas na ok. 1 km. Woda zerwała jej welon i siostra czuła się sama, gdyż nie widziała nikogo z załogi. Po upływie kilkunastu minut nadpłynęła łódź, ludzie z przerażeniem pytali, czy wszyscy żyją. Odpowiedzieliśmy, że nie wiemy, co się stało z jedną siostrą i prosiliśmy, by popłynęli ratować najpierw ją. Oni jednak popłynęli po mnie i wyciągnąwszy mnie z wody podwieźli do brzegu i tam zostawili razem ze swoimi dziećmi i częścią towaru. Dopiero wtedy popłynęli po siostrę Joannę. Wyłowiwszy ją z wody zostawili po drugiej stronie rzeki i zaczęli wylawiać nasze rzeczy i składać obok siostry. Widząc jednak przerażenie siostry, która cały czas prosiła, by ją przewieźli do mnie, uspakajali ją mówiąc, że tu jest bezpieczna i żeby spokojnie czekała na nas, że nas przywiozą do niej. Łódź zatонуła na samym środku rzeki i wszyscy byli świadomi, że rzeka jest bardzo niebezpieczna, pełna



wirów, węży, piranii i innych stworzonek oraz że jest bardzo głęboka, od 4 do 8 metrów głębokości. Pomimo tego zachowano spokój. Stało się to wszystko przed zakrętem rzeki, więc z drugiej łódki nas nie widzieli, mieli lepszy motor i byli dużo w przodzie. Dopiero, gdy przez dłuższy czas nie pojawialiśmy się za nimi, zawrócili i jeszcze żartowali, że może zatonęliśmy, nie zdając sobie sprawy, że to jest prawda – do momentu, gdy łódź płynąca od portu dała im znać, że nasza łódka naprawdę zatonęła. Dopiero wówczas oni wpadli w przerażenie, uświadamiając sobie, że żadna z nas nie umie pływać. Pytanie było, co dalej... Nie mieliśmy nic suchego, nasze rzeczy były całkowicie mokre i brudne. Byłam gotowa zawrócić, ale na usilne błaganie żołnierzy i lekarza zdecydowałam się kontynuować wyprawę. Nie było to łatwe, nie miałam w czym spać ani co na siebie włożyć, siostra Joanna pożyczyła mi swojej koszuli, którą miała szczelnie zapiętą w woreczku foliowym, tak że koszula nie zdołała się zamoczyć.

Następnego dnia nastąpiło suszenie i ciężka praca. Upały były ogromne, a my zmienialiśmy miejsce noclegu każdego dnia, pakując wszystko, znosząc na łodzi i wieczorami z łodzi na ląd. Burty były bardzo wysokie ze względu na podnoszący się stan rzeki i zagrożenie powodzią. Dzięki żołnierzom, którzy okazali się nam niezbędną siłą, udawało nam się pokonywać wspinaczki na ląd i schodzić z lądu do łódki. Była to bardzo trudna wyprawa, pełna wyrzeczenia, umęczenia i fizycznego wysiłku. Upały nie pozwalały nam spać, w namiocie dusiło się od gorąca i wilgoci, a poza nim komary atakowały całymi stadami. Byliśmy pogryzieni przez różne owady, na które nie działały żadne środki, drapaliśmy się przez sen do krwi i biliśmy bzyżące komary.



Ludzie tamtejsi przyjęli nas bardzo serdecznie, współczuli nam tego co się stało i ze zdumieniem mówili, że to cud, że nam się nic nie stało, gdyż rzeka jest bardzo niebezpieczna i wielu w niej utonęło, umiając pływać. W każdej wspólnocie czekano na nas i na naszą posługę. Ludzie odwdzięczali się nam posiłkami, które przygotowywały tamtejsze kobiety, i starali się, byśmy mieli wodę choćby deszczówkę do mycia i przez kilka minut światło. Od-

wiedzieliśmy sześć wiosek plemiennych Yuracare i Mojeno, udzieliliśmy 136 konsultacji medycznych, podaliśmy 81 zastrzyków, wykonaliśmy 165 badań laboratoryjnych (eses) i 38 konsultacji dentystycznych wraz z wyrwaniem zębów i leczeniem.

Naszedł dzień powrotu do domu. 28. października czekała nas podróż kilkanaście godzin na wodzie od ostatniej wspólnoty, do której dopłynęliśmy w ciągu tygodnia. Musieliśmy

teraz pokonać ten odcinek w ciągu jednego dnia. Chcieliśmy jak najszybciej dopłynąć do portu, ale nie wiedzieliśmy, że czeka nas jeszcze jedna przygoda – burza z piorunami i ulewa. Już po drodze ludzie nas ostrzegali, że w miejscu łączenia się rzek Chimore i Ichilo czeka na nas niebezpieczeństwo, gdyż rzeka Chimore wezbrała gwałtownie poprzez ulewę i jest wzburzona, płynie nią ogromna ilość drzew, gałęzi i różnego rodzaju brudu, woda jak podczas powodzi. W szybkim czasie zrobiło się czarno, nic nie było widać, woda wzburzyła się. Konary drzew uderzały o łódkę, deszcz był tak obfity, że zalewało nas na łódce. Przykryci plandeką czekaliśmy na kolejny cud, by dopłynąć cało do portu. Pioruny rozświecwały tafle wody, która była pokryta ogromnymi konarami drzew, gałęzie wkręcały się w skrzydła motoru, a o burtę łódki uderzały konary drzew, pod nią zaś czuło się zgrzyt, jakbyśmy płynęli po kamiennym podłożu. Płynęliśmy samym środkiem rzeki, walcząc z żywiołem i walcząc o przeżycie. Obie z siostrą Joanną modliłyśmy się bez wytchnienia, pełne przerażenia i niepewne czy przeżyjemy. Tonięcie, które przeżyliśmy, było niczym w porównaniu co przeżyliśmy walcząc z żywiołem w drodze powrotnej. Gdybyśmy wypadli lub łódka zatonała, nikt by się nie uratował. Poziom wody wzrósł o 2 metry i pojawiły się niezliczone wiry, które chciały nas wessać, wciągając w sam środek tego żywiołu. To były godziny niekończącej się trwogi, przerażenia, a zarazem modlitwy do Boga, by nas uratował i doprowadził do portu. Wyglądaliśmy z utęsknieniem światełek w oddali ukazujących naszą przystań. Dopiero o godzinie 23 z minutami zobaczyliśmy światła z portu, co oznaczało koniec naszej wyprawy. Na lądzie czekali na nas żołnierze, by pomóc rozładować łódzie, i nasz doktor, by zawieźć nas do domu.

17 listopada 2017 roku. Tego dnia siostry Maria Jose i siostra Clara wstały rano na modlitwę i zobaczyły wodę w domu. Cały dół był zalany wodą, kaplica i korytarze wypełnione wodą, a meble stojące w wodzie. Na zewnątrz domu całe podwórko było zatopione, a ulicą płynęła rzeka. Deszcz padał bez przerwy, podwyższając stan wody. Nie było możliwości usunięcia jej z domu, gdyż jej poziom na zewnątrz był wyższy. Siostry były przerażone, nie wiedziały, co mają robić i jak długo to potrwa. Zaczęły wynosić rzeczy z kaplicy na wyższy poziom w domu i pod szafy podkładać cegły. Na szczęście o 10 rano ulewa trochę się uspokoiła i deszcz powoli przestał padać. Woda w szybkim tempie zaczęła opadać i można było pozbyć się błota i zacząć osuszać meble i ściany. Od ostatniej powodzi minęło 20 lat aż do dnia dzisiejszego. Można pomyśleć, że woda w jakiś sposób nas prześladuje w tym roku. Najpierw na rzekach, teraz w domu.